

**WYBRANY**

## **Książka dostępna jako e-book**

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być wykorzystana w jakikolwiek sposób bez pisemnego zezwolenia właścicieli praw.

COPYRIGHT © URSZULA SOWIŃSKA 2017

Fotografia na okładce: ALERAMO/SHUTTERSTOCK.COM  
Projekt graficzny okładki i skład: ŁUKASZ SULIMOWSKI  
Korekta: BEATA GORGOŃ-BOREK, GRAŻYNA KWIEK

WARSZAWA 2017  
WYDANIE I  
ISBN 978-83-947053-0-5

WYDAWNICTWO W PUNKT  
[www.wybrany.pl](http://www.wybrany.pl)  
[halo@wybrany.pl](mailto:halo@wybrany.pl)

# WYBRANY

URSZULA SOWIŃSKA

 **W PUNKT**  
WYDAWNICTWO



Kiedy zbliżał się do niewielkiego osiedla ułożonego z identycznych, kilkupiętrowych bloków, przeszedł go dreszcz niechęci, zmieszany jednak z odrobiną poczucia bezpieczeństwa. Znał w tej okolicy każde drzewo i popękany chodnik, każdą dziurę i piwnicę, każdy śmietnik czy odrapaną ławkę. Nawet większość niewprawnych graffiti powstała jeszcze za jego czasów. „A.K. to pedał” – deklarował blok po prawej stronie. „HWDP” – przekonywał budynek po lewej, „Czarni złodzieje, czerwone szmaty” – krzyczał kolejny, choć niewyraźnie, bo napis ktoś nieudolnie zamalował. Mijał kolejne klatki schodowe z brudnymi drzwiami wejściowymi, nieuchronnie zbliżając się do swoich. Stał przed nimi i głośno wciągnął powietrze. Serce biło mu mocniej, gdy naciskał dzwonek domofonu – z emocji, ale i z lekkiej irytacji, wywołanej stuprocentową przewidywalnością niewypowiedzianego matczynego powitania. Mógł ten dialog, który za chwilę nastąpi, już teraz wygłosić z dokładnością do kilku wyrazów, mógł go rozpisać na słowa, miny i gesty. Mógł...

– Staszku, syneczku!

Zobaczył matkę, która zbiegła na dół, bo wypatrzyła go z okna, czuwając za firanką już od godziny.

– Kochany mój, tak się cieszę, że już jesteś w domku. – Zamknęła go w delikatnym, ale stanowczym uścisku.

Objął ją niechętnie i niedbale oddał czułość. Jej ręce wróciły w końcu na swoje miejsce, ale teraz obejmowała go i ścisnęła wzrokiem.

Matka patrzyła na Staszka z miłością nieprzewidzianą do ukrycia. Nie widziała co prawda jej odwzajemnienia na twarzy syna, ale też na nie nie czekała. Ignorowała niechęć błakającą się w kącikach synowskich ust i jego zimne spojrzenie. Jawny dystans wobec siebie przerobiła na znajomy sobie i akceptowalny kod.

– Źle wyglądasz, zmęczony jesteś chyba? – zaczęła, gdy mijali pierwsze piętro, w drodze do mieszkania, zza którego drzwi słychać było szaleńcze szczekanie psa.

Był zmęczony i czuł się zmęczony. Tym łatwiej wszedł w tę wygodną rolę.

– Tak, trochę, wiesz przecież, o której musiałem wstać, żeby zdążyć na pociąg, a w pociągu też nie pospałem. O rany, jak ten pies szaleje – dodał, kiedy ujadanie spotęgowane echem betonowego korytarza stawało się nieznośne.

– Przecież zawsze tak się zachowuje, gdy wracasz. – Matka się uśmiechnęła. Też chętnie wrzasnęłaby sobie z radości podczas witania syna.

Otworzyli drzwi, a pokraczny kundel natychmiast skoczył na chłopaka z niezwykłą jak na starego psa siłą, niemal go przewracając.

– No już dobrze, Supeł, daj mi się rozebrać. – Staszek oganiał się od zwierzaka, który w tańcu radości skakał wokół niego, wpychając mu łeb pod rękę.

Staszek też się cieszył ze spotkania z kundlem, któremu oddał całą miłość, jaką natura przewidziała dla rodzeństwa lub ludzkich przyjaciół. Nie miał brata ani siostry, miał niewielu kolegów, ale żadnych bliższych

znajomości. Tak naprawdę ufał tylko temu śmierzdzącemu już ze starości psu.

Psia ekstaza w końcu trochę opadła i Staszek klapnął w fotelu, za dużym jak na rozmiary pokoju, przygotowując się na rozmowę z matką. Zwierzak położył się obok, kładąc łeb na jego stopach. Raz po raz wstawał jednak, domagając się pieszczot i upewniając się, że jego ukochany pan jest na swoim miejscu.

– Przemeblowałam trochę twój pokój, chcesz zobaczyć? – zagadnęła matka, stając w progu pokoju zwanego stołowym, w którym jednak – ze względu na niewielki metraż – nigdy nie było stołu. Wcisnięto tu natomiast niepraktyczną ławę, fotel, małą kanapę i ogromny kredens, którego otwarte półki w większości zapełniały nieprzydatne, brzydkie bibeloty oraz zdjęcia Staszka w różnych fazach rozwoju. W centralnej części pokoju, dokładnie naprzeciwko fotela, stał telewizor, najlepszy przyjaciel matki.

– Mamo, tłumaczyłem ci przecież, że to nie jest już mój pokój. Mój pokój jest w mieście, a to mieszkanie zagospodaruj sobie, jak chcesz – mówił Staszek spokojnym głosem. – Fajnie, że coś z nim robisz, ale nie rób tego z myślą o mnie, ja w sumie to, no wiesz, coraz częściej będę tu tylko gościem. – Starał się przy tym uśmiechnąć, bo wiedział, jak trudno jest matce zaakceptować jego wyprowadzkę. Dla spokoju powinien był udawać i zapewniać ją, że nic się nie zmieniło, że wyjeżdża na trochę do miasta, ale że zawsze wraca tu, do swojego prawdziwego domu, do rodziny, bo tu przecież jest jego miejsce. Odwrócił wzrok od matki,

której oczy niebezpiecznie się rozszerzyły, a usta zaciśnięły. – No to pokaż, co tam popsują. – Uśmiechnął się pojednawczo do kobiety i popchnął ją leciutko do przodu, aby pokonać tym samym jej rozczarowanie.

W trójkę – pies był teraz ze swym panem jednością – przeszli przez wąski korytarzyk, zagracony szafą i półkami na buty, do mniejszego pokoju. Pod jedynym oknem stało biurczko, na jednej ze ścian szafa, bielizniarka i nieproporcjonalnie duża, jak na rozmiary pokoju, biblioteczka pełna książek. Pod drugą ścianą królowała nowa, rozkładana, pomarańczowa kanapa, a nad nią świeżo zawieszono dwie małe półeczki z kilkoma książkami. W oknie gęsto haftowane, poliestrowe firanki i kwieciste zasłony skutecznie blokowały światło słoneczne. Podłogę przykrywał wielobarwny dywan ze sztucznego włókna w nieokreślone, geometryczne wzory. Pokój wciąż jeszcze lekko pachniał farbą, matka wybrała jasnoniebieską, która w jej intencji miała podkreślić chłopięcość pomieszczenia, ale, niestety, podkreślała tylko kakofonię niepasujących do siebie przedmiotów.

– Trochę poprzestawiałam, kupiłam nową kanapę – mniejszą, żeby jakaś przestrzeń tu była, bo zawsze na to narzekałeś, i zawiesiłam te półki, żeby już więcej książki nie walały ci się po podłodze – wskazywała po kolei palcem, bardzo dumna z odnowionego pokoju syna, odganiając od siebie naprzykrzającą się myśl, że syn już nigdy w nim na stałe nie zamieszka. „Kto wie?” – przekonywała siebie w kolejne samotne wieczory. „Kto wie?”

Staszek stał wpatrzony w schludny, maleńki, wstrętny pokoik i sam nie wiedział, co powiedzieć. Kanapa już z daleka wyglądała na niemiłosiernie niewygodną, a półkę matka powiesiła w najmniej odpowiednim miejscu. Ale z każdego kąta tego pokoju wychodziła mu naprzeciw miłość, oddanie, pamięć i chęć uszczęśliwienia go. „Aaaaaaaa!” – krzyczała jego dusza, gdy usta układały się w najbardziej poprawne zdanie.

– Super, mammo, naprawdę się napracowałam. Ale skąd miałaś pieniądze, przecież to musiało sporo kosztować? – zapytał matkę, łapiąc jej uciekający przed pytaniem wzrok.

– Nie, nie tak dużo, nieważne – zapewniała syna.

– Ważne, ważne. – Staszek nie dał się zbić z tropu. – Przyznaj się, ile na to wydałaś?

– Akurat przecenili te rzeczy w naszym meblowym i wzięłam na raty, takie niskie, że wcale nie czuję, że coś spłacam, a ty masz teraz taki ładny pokój. – Uśmiechnęła się do syna, wiedząc, że jej wyrzeczenie tym razem powstrzyma go od wspomniania o wyprawce z rodzinnego mieszkania.

– Dzięki, mammo – odpowiedział chłopak, zgodnie z jej przewidywaniami. – Superpokój.

Usiadł na kanapie i – jak tego oczekiwała – zmienił kilkakrotnie pozycję, zaprzyjaźniając się z niewygodnym meblem. Wstał, niemal uderzając głową o półkę. Matka wstawiła do niej kilka przypadkowo wyjętych z regału książek, akurat trafiła na okres jego fascynacji fantastyką. Dziś do żadnej z nich już by nie wrócił.



Nakręcony wyrzutami sumienia przekartkował pierwszą z nich i odłożył na miejsce.

– Poczytaj sobie albo się połóż, a ja się wezmę do obiadu. – Matka uśmiechnęła się, obrzuciła pomieszczenie czujnym wzrokiem i wróciła do kuchni, jej ulubionego pomieszczenia w mikroskopijnym mieszkaniu.

Staszek usiadł znów ciężko na nowej, twardej kanapie. Pies poczekał, aż pan zajmie miejsce, wskoczył obok niego i położył mu pysk na kolanach. Chłopak odruchowo zaczął go gładzić, rozglądając się jednocześnie po pokoju. W tym maleńkim pomieszczeniu zamykało się całe jego poprzednie życie i plany na nowe. Czy to możliwe, że on, tak pragnący niezależności i wolności, powstał tu, w tym brzydkim, ciasnym i ograniczonym miejscu? Czy to ta ciasnota wywołała w nim chęć wyrwania się i wystrzelenia stąd jak z procy, byle dalej, byle gdzie indziej? A może ta maleńkość pozwoliła mu skupić się na zewnętrznosci, nie odrywała jego myśli i nie ciągnęła ku sobie, bo była nikłym pokarmem dla zmysłów? Całe jego „ja” mogło więc swobodnie wyfruwać z tego pokoiku, przenikać niczym nieograniczone przez ścianę, wznosić się na najwyższe wysokości. Tak, ciasnota fizyczna paradoksalnie wpłynęła na otwartość jego głowy. Podobnie jak z narodzinami – trzeba pewien niezbędny czas spędzić w ograniczoności matczynego brzucha, żeby potem wyrwać się na cały świat.

Na te myśli czekała tylko myśl-przypomnienie. Andrzej. Serce znów mu się ścisnęło, zaraz to samo

zrobił żołądek. „Nie, nie teraz!” – huczało mu w głowie. „Nie chcę teraz o tym myśleć, nie, nie, nie!”

Wielkim wysiłkiem woli odegnał od siebie nieprzyjemne wspomnienia ostatnich dni. Musiał wstać i dać umysłowi nową pożywkę, zająć czymś oczy i ręce. Otwierał po kolei drzwiczki regału. Większość zawartości mebla stanowiły książki i pedantycznie poukładane zeszyty i notatniki. Na półkach leżała cała jego droga od chłopięctwa do dorosłości. W tych książkach między wierszami zapisana była przemiana, w zeszytach – emocje i nadzieje. Jego studia, nauka, wiedza, noce przepracowane w magazynach i na stróżówkach, wieczny głód fizyczny i emocjonalny, poczucie krzywdy i niespełnienia, gdy pękła wielka, nadmuchana niczym balon nadzieja, że koniec studiów na zawsze zakończy jego kłopoty. „Ale byłem krety-nem” – pomyślał Staszek, choć od obrony pracy nie minął nawet rok. „Naiwnym krety-nem” – uzupełnił sam siebie.

Studia były jego ulubionym okresem w życiu. Szło mu świetnie, wykładowcy go chwalili, a egzaminy zda-wał bez większych problemów. Nie był na swoim roku jedynym biednym studentem – w końcu to były studia na podrzędnej uczelni w najbliższym jego rodzinnej miejscowości i „najtańszym” mieście akademickim, poza tym tak jak pozostali nieudolnie maskował per-manentny brak pieniędzy nonszalancją i unikaniem knajpianego, studenckiego życia.

Z biedą zresztą był w dobrej komitywie przez całe życie, w sumie innego niż „oszczędny” styl życia nie

znał. Poza tym póki nie zdał na studia, wydawało mu się, że taka właśnie jest powszechna norma, że większość populacji tego kraju po prostu klepie biedę, bo w jego małej miejscowości w najuboższym rejonie kraju nie było wielu bogaczy ani szczególnych różnic majątkowych. Ot, ten miał auto, a tamten nie, ten miał warsztat i wiodło mu się trochę lepiej, inny z kolei jakiś sklepik. „Ale kto tam, panie, kupuje w tych sklepach, jak tam taka drożyzna” – podkreślał zawsze jego sąsiad z parteru. Różnica polegała więc na posiadaniu pary dżinsów z latami lub bez, dwóch lub jednej pary butów, osobnego płaszcza na zimę czy „uniwersalnej” kurtki na cały rok. Większość jego kolegów z podwórka i klasy mieszkała w tak samo nędznych, nieciekawych i małych mieszkankach, ich rodzice też stawali na głowie, żeby przeżyć kolejny miesiąc. Tych kilku miejscowych bogaczy otoczono legendą oszczerstw i kłamstw, tak że ostatecznie też nikt im nie zazdrościł, a poza tym widywało się ich rzadko i z daleka.

Dopiero w większym mieście nagle zobaczył, że to, co znał, to nie była normalność. I choć zawsze czuł to pod skórą, tam w końcu doświadczył tego w pełni, dotknął, posmakował. Spotkał studentów, którzy mieli swoje samochody, mieszkali w wynajmowanych im przez rodziców mieszkaniach, jadali w knajpach, upijali się w pubach. Mieli komputery zdolne obliczać tysięczne wartości pi po przecinku, telefony w kieszeniach śpiewały im cicho najnowsze hity, a wydawanie pieniędzy było po prostu jednym z ich licznych hobby. Byli panami swojego czasu i kieszeni, byli uwolnieni

od codzienności, od suchego chleba z namiastką wędliny, od „tylko śniadania”, bo na kolację już nie ma pieniędzy.

Chyba wtedy właśnie zaczął ich nienawidzić i podziwiać jednocześnie. Zawsze pustymi kieszeniami nie mógł wejść do ich grona, więc – nie przyznając się do tego przed samym sobą – pożył ich towarzystwa z daleka. A z daleka wszystko u nich było piękne i uśmiechnięte, beztroskie i błyszczące. Byli pierwszym mocnym kopniakiem, który ustawił go przed samym sobą w ostatnim szeregu. I do dziś, choć skończył studia z wyróżnieniem, nie udało mu się mentalnie przepchnąć do pierwszego.

Miał też wieczny głód kobiet. Nie interesowały go takie, na które byłoby go stać, takie, które zadowolą się gadaniem, kinem raz na pół roku, wspólnym gotowaniem zupki w proszku w śmierdzącej kuchni akademika. Zawsze sięgał dalej, skoro nie mógł dostać tego, co chciał, to nic nie chciał; albo post, albo najwyższa półka; półśrodki są dla mięczaków.

I tak naprawdę głód kobiety był najsilniejszym z tych, które mu dokuczały, i najtrudniejszym do zaspokojenia wyimaginowaną błogą przyszłością. Samo pragnienie fizyczne było na szarym końcu tego głodu, zaspokajał je raz po raz z przygodnie poznanymi dziewczynami lub koleżankami z roku. Był przekonany, że to właśnie ta niespełniona dotąd możliwość bycia z kobietą piękną, pachnącą, niezależną byłaby najlepszym wyznacznikiem wysokiej poprzeczki, do której się przymierzał. Wyczuwał, że takie kobiety instynktownie wyławiają najlepsze kąski z męskiej

masy i bardzo trudno zmylić ich instynkt. Wiele nocnych godzin poświęcał na rozmyślanie o tej nieistniejącej, ale bardzo realnej kobiecie marzeniu; choć nie miała określonego koloru włosów, oczu czy wzrostu, to wypracował na własny użytek wzorzec, kompilację dotychczas poznanych lub oglądanych z daleka kobiet. Z każdej z nich uszczknął coś, co złożyło się na jego osobistą Wenus, Atenę i Marię Magdalenę. Jego kobietę. I jak to w życiu mało istotnych ludzi często się zdarza, jego ideał przyłapał go, gdy w przybrudzonych ciuchach wyładał butelki na sklepowe półki. Dlaczego ziemia się wtedy nie rozstała, nie spadł księżyc razem ze słońcem, nawet nie pękła żadna ze sklepowych świetlówek? Ziemia przecież powinna się choć zatrząść, jeśli przed człowiekiem staje nagle w trzech wymiarach jego niejasne dotąd marzenie, a jemu tylko zatrzęsły się ręce. I jeszcze to pytanie o kukurydzę. Znow wszystko nie tak, znow bez sensu, ładu i składu. Śmiesznie i głupio, normalnie.

Oderwał umysł od biegnących w złą stronę myśli i wrócił do małego pokoju w swoim rodzinnym mieszkaniu. Spojrzał znow rozumnym wzrokiem na gruby zeszyt, w którym bezwiednie przewracał kartki, aż jego oczy zatrzymały się na podkreślonym temacie „Bankowość detaliczna”. Coś drgnęło mu w głowie, przegalopowało przez całe ciało aż do ręki, która starannie zaczęła przerzucać kartki zeszytu i zatrzymała się na fragmencie opisującym „bankowość 24-godzinna”. Patrzył na to i jego myśli uśmiechnęły się do niego. „Jasne, czemu wcześniej na to nie wpadłem”.

Uśmiech miał wciąż na twarzy, kiedy matka weszła do pokoju i poprosiła go na obiad, zauważając z zadowoleniem resztki grymasu syna, szczęśliwie absolutnie bez świadomości, co się za nim kryło. „Jak teraz zje to, co mu ugotowałam, to dopiero się będzie uśmiechał” – pomyślała, naiwnie przypuszczając, że tak proste przyjemności mogą naprawdę cieszyć jej syna.

Staszek zapatrzony w głąb swoich myśli bezwiednie odpowiadał matce na pytania o pracę, mieszkanie, znajomych. Szybko zaczął jednak znów kontrolować wymianę zdań, przypominając sobie, że przecież matka nie wie, gdzie on tak naprawdę pracuje. Nienawidził tych kłamstw, nawet nie przez sam fakt oszukiwania kogoś bliskiego, ale przez świadomość tego, że zasłużył na to, by rzeczywistość była taka jak w jego opowiadaniach. Przynajmniej taka. Jego umysł domagał się pożywienia, chciał szarpać zębami prawdziwe problemy, wypluwać z siebie trafne rozwiązania, smakować zadowolenie będących pod wrażeniem przełożonych. Promotor jego pracy magisterskiej zachęcał go do pracy naukowej, ale on – świadomy swojej siły – chciał ją szybko przełożyć na mocny sukces. I teraz tak bardzo bolało go to, że sukces wcale nie miał go w planach.

– Po co? – zapytał trochę zbyt gwałtownie, jednocześnie retorycznie, gdy usłyszał, że matka zaprosiła na popołudnie swojego brata z żoną i dorastającymi dziećmi.

Wujek był listonoszem, człowiekiem bez poczucia humoru, wiecznie sfrustrowanym i podkradającym

pieniądze emerytom. Jego żona – dzięki starym, szkolnym znajomościom – pracowała od niedawna w świetnie prosperującym salonie jednego z komórkowych potentatów. Mąż wolałby co prawda odgrywać rolę jedyne go żywiciela rodziny, decydującego o wszystkim w domu, ale coraz kosztowniejsze wymagania dorastających córek ostatecznie przekonały go, że kobieta musi dołożyć coś do wychudzonego domowego budżetu.

– Przecież to twój ojciec chrzestny, musisz go widywać od czasu do czasu – przekonywała matka. – Zresztą oni mnie bez przerwy o ciebie wypytyują, ja już sama nie wiem nawet, co mam mówić. To będzie dobra okazja, żebyś sam im wszystko opowiedział, prawda? – ucięła dyskusję, udając, że nie widzi zaciętej twarzy syna.

Staszek nabrał jeszcze powietrza, by walczyć dalej, ale w końcu, świadomy przegranej, mlasnął tylko językiem i by ukarać matkę za nieskonsultowanie z nim zaproszenia, nie odezwał się do końca posiłku, a później ostentacyjnie włączył telewizor i na próby udobruchania odpowiadał monosylabami.

Pies leżący od niemal godziny w jednej pozycji, z pyskiem opartym tym razem na kapciach swojego pana, zerwał się nagle i niespokojny pobiegł, węsząc, do drzwi. Staszek wiedział, że to nieomylny znak zbliżających się gości, których pies wyczuwał zawsze kilka chwil przed dzwonkiem do drzwi. Mimo to chłopak postanowił ignorować myśli o nadchodzącej krępującej wizycie. Miał umysł zmęczony natłokiem wydarzeń z ostatnich dni i niewygodną poranną podróżą. Przymknął oczy

i oddychał głęboko, wpychając pod powieki przyjemne obrazy, które zawsze wywoływał w kryzysowej sytuacji: morze, które ukochał od pierwszego wejrzenia, łąka za blokiem, na której szaleli z psem, przejażdżki rowerem, aż szumiało w uszach.

Dzwonek – choć oczekiwany – rozerwał gwałtownie ciszę domu i przeszył dreszczem ciało chłopaka. Po chwili usłyszał drobny trucht matki, która przeszła szybko z kuchni do przedpokoju, chrobot zamka i po dłuższej chwili, jaką zajęło gościom dojście na ich piętro, eksplozję przywitań i uścisków.

– No jesteście – rzuciła pierwszą oczywistość matka.

– Wiesz, krótki spacer i już – odświegotął jej głos bratowej.

– Wchodźcie, wchodźcie – ponaglała wszystkich kobieta.

Staszek, ociągając się, otworzył oczy, z westchnieniem wstał z kanapy i poszedł się przywitać.

– No nareszcie się widzimy! O jejku, jak ty wyrosłeś! Ale jaki chudy jesteś, nic tam chyba w tym mieście nie jesz? – Świergot skierowany był tym razem do niego. Wychodził z ust krągłej, walczącej zajadle ze zbliżającą się starością kobiety. Na włosach mieniły się kolorami pasemka, twarz pokrywała spora warstwa makijażu, strój ewidentnie pochodził z bazarowej kolekcji imitującej elegancję.

Staszek pamiętał ciocię z czasów swojego dzieciństwa, jej miłą, ładną twarz, wysportowaną sylwetkę i dowcip. Teraz trudno było mu odnaleźć tamte wspomnienia w kobiecie wyciągającej do niego ręce



w geście powitania, który po chwili zamknął go w jej rozłożystej klatce piersiowej. Poddał się po raz kolejny tego dnia i po chwili wciągnął przez nos mieszaninę lakieru do włosów i mocnych perfum, do czego ciocia dodała trzy zdecydowane pocałunki. Wypuściła go z objęć, ale jeszcze nienasycona pogładziła jeszcze po twarzy i przesunęła kilka razy dłonią po włosach chłopaka. W końcu niechętnie oddała pole mężowi, przesuając się do wnętrza większego pokoju.

Po wujku już z postawy i miny było wiadomo, że będzie powściągliwy i ostrożny w powitaniach. Staszek zawsze trochę bał się starszego brata matki. Niewysoki, ciemnooki mężczyzna rzadko się uśmiechał i choć był gadatliwy, z założenia nie rozmawiał z dziećmi, które chyba uważał za konieczny, ale niezajmujący na dłużej dodatek do dorosłych.

– Noooo, cześćśśś! – Mężczyzna, przeciągając sylaby, schwytał prawą rękę chłopaka, zanim ten zdążył ją wyciągnąć na powitanie, potrząsnął nią kilka razy i równie niespodziewanie puścił, niezgrabnie, w połowie uścisku. Ręka Staszka, zdziwiona całym zajściem, jeszcze zrobiła ruch imitujący potrząsanie i opadła ciężko na swoje miejsce.

Wujek, korzystając z przywileju ludzi nie do końca okrzęsanych, zatrzymał się jeszcze na wprost Staszka i patrzył na niego bezceremonialnie przez dłuższą chwilę, potem bez słowa ciężkim krokiem poszedł w ślady żony.

– Rzeczywiście, chudy jesteś jak tyczka. – Zaśmiał się prosto w twarz chłopaka, gdy mijał go w drodze do „salonu”.

Na ciasnej scenie przedpokoju zrobiło się miejsce dla kolejnych dwóch osób – lekko speszonych, ale i zaciekawionych kuzynek Staszka. Przez chwilę boksowali się niezgrabnie, starając się przypomnieć sobie nieczęsto ćwiczone reguły oficjalnego powitania. W końcu młodsza z sióstr, najmniej przejmująca się zasadami dobrego wychowania, pochwyciła Staszka w kruche objęcia, ucałowała w policzek i rzucała krótkie „cześć”. Jej siostra idealnie powtórzyła procedurę i jedna z trudniejszych chwil rodzinnych spotkań nareszcie dobiegła końca.

Dziewczyny dołączyły do rozgadanej trójki wypełniającej już niemal w całości małą przestrzeń największego pomieszczenia tego biednego mieszkania. Wcisnęły się w resztkę miejsca pozostawionego na kanapie przez ich rodziców. Staszek nie miał wyjścia i zajął twarde i uniemożliwiające przyjęcie wyluzowanej pozy drewniane krzesło. Pies, który na czas powitalnej ceremonii dobrze się ukrył, szybko ułożył się znów jak najbliżej nóg swojego młodego pana.

– No to opowiadaj, co tam w wielkim mieście słyhać? – zadał rutynowe pytanie wujek i Staszek natychmiast – choć dużo za wcześnie – poczuł się zmęczony wizytą. Było mu gorąco, niewygodnie, denerwowała go świecąca ostrym światłem żarówka w niepasującym do niczego, drewnianym żyrandolu.

Musiał zacząć tę obowiązkową towarzyską grę, w której opowie o rzeczach, które nikogo nie będą obchodziły, w których nie powie tego, co naprawdę myśli i czuje, ze świadomością, że uczestników tej gry

tak naprawdę nie interesuje, co ma do powiedzenia, a za napięciem na ich twarzach kryje się oczekiwanie, by nie przegapić tej luki między dwoma myślami, która pozwoli im wcisnąć w nią swoje, najwłaściwsze przecież, opinie. Nie wysilił się więc, banał był tym, czego wszyscy się spodziewali i na co wszyscy czekali.

– Wszystko dobrze, nie ma za bardzo o czym opowiadać. Zresztą im dłużej tam mieszkam, tym bardziej wydaje mi się, że w sumie jest tam prawie tak jak u nas, tylko wszystkiego jest więcej. Wszędzie tłumy ludzi, rano trudno wejść do autobusu czy tramwaju, jeśli się człowiek dobrze czegoś nie chwyci, to cię zdeptają. A teraz jest najgorzej, bo budują nowe... – Staszek nie zdążył dokończyć zdania, gdy bezpardonowo przerwał mu wujek, niczym wprawny łowca wyczuwający sekundę zawahania w wypowiedzi chłopaka.

– A ile u nas teraz budują, ciągle coś, a to sklep, a to salon taki czy inny, czy tam jakiś apartamentowiec. – Ostatnie słowo, wciąż obce w jego słowniku, odpowiednio wymodulował z nutką pogardy w głosie. Rzeczywiście, wyjątkowy jak na ostatnie senne lata rozwój urbanistyczny tej dalekiej prowincji był najpopularniejszym ostatnio tematem towarzyskich spotkań. Marazm, który coraz szczelniejszą powłoką zakrywał to małe, chylące się ku upadkowi miasteczko, puszczął ostatnio w szwach dzięki kilku przywracającym wiarę inwestycjom.

Kobiety chętnie przyłączyły się do zajmującego je tematu. Wyczuwało się, że oprócz Staszka wszystkie osoby stłoczone w tym niewielkim pomieszczeniu

naprawdę porusza mglista perspektywa realnych zmian tego skupiska brudnych ulic i domów, z którym były zespolone w jeden organizm.

Staszek początkowo dość uważnie przysłuchiwał się rozmowom, ale po pewnym czasie pozwolił swoim myślom opuścić mieszkanie matki i bez skupienia się na czymś konkretnym unosił się swobodnie wraz z nimi w niezidentyfikowanej czasoprzestrzeni. Raz po raz wyrwały go z jego błogostanu głośniejsze śmiechy bądź proste pytania kierowane w jego stronę. Niemal nie zauważał zmiany tematów, szczegółowego omawiania rządzących w miasteczku układów, obgadywania lokalnej władzy, sprawnego przechodzenia na sąsiadów, rodzinę i znajomych. Powoli wybaczał matce ten nieustalony z nim towarzyski kontredans, który szczęśliwie płynął obok niego.

Z obłoków swego umysłu wskoczył znów na twarde stołek, słysząc wypowiedziane niewinnie przez matkę, bolesne dla niego zdanie. Zgodnie porzucono już przeżute do cna tematy ogólne, by wgryzać się teraz w delikatniejsze i słodsze osobiste lęki i niepewności.

– No, mam nadzieję, że ta moja fabryka nie padnie, bo kto mnie wtedy przyjmie? Chyba będę musiała iść do jakiegoś marketu na kasę albo towar wykładać, nie daj Panie Boże. – Matka Staszka dawała upust swoim nigdy niestygnącym lękom o utratę pracy, które czaiły się w jej umyśle stale od pierwszego dnia, gdy stanęła przy taśmie. O swoich obawach mówiła przy każdej nadarzającej się okazji, tak że nikt ich już poważnie nie traktował. To zdanie było po prostu

częścią towarzyskiego rytuału i gdyby nie jego druga część, przemknęłoby jak zwykle niezauważone i zlekceważone. Tym razem jednak ugryzło Staszka w samo serce.

– A nasza Ala, jak tylko szkołę skończy, to za granicę chce wyjechać – pochwaliła się głośno decyzją córki ciotka Staszka, nie poświęcając nawet zniechęconego machnięcia ręki troskom o pracę swojej szwagierki. – Austrię sobie wymyśliła, że to bogaty kraj i w sumie tam mało Polaków jeszcze.

– Miała rozszerzony niemiecki w szkole, to niech jedzie, zarobi trochę, to wróci, dobrego męża znajdzie, może własny biznes jaki założą, bo na to państwo nie ma co liczyć – podkreślał listonosz.

– Tato, daj spokój. – Dziewczyna lekko się spłoniła, ale było widać, że taki scenariusz bardzo by jej odpowiadał.

– A Maryskę to z kolei na modelkę pošlemy. – Wujek się zaśmiał, podszczypując delikatnie ramię młodszej córki.

Ta oblała się silnym rumieńcem i w żaden sposób nie skomentowała planów ojca na jej przyszłość.

– Na modelkę? No co ty? Jak? – dopytywała się wyraźnie zaintrygowana matka Staszka.

Chłopak równie zaskoczony spojrzał po raz pierwszy krytycznie, z boku, na swoją kuzynkę. Znał ją niemal od urodzenia, nie zwracał uwagi na jej urodę, była stałym elementem jego rodzinnego życia, niezbyt pewnym siebie dziewczątkiem, raczej milczącym i kiepskim w nauce.

Dziewczyna miała długie, bardzo jasne włosy i dość duże, szarobłękitne oczy. Oprawa oczu była ciemna, co ciekawie kontrastowało z jasną, mleczną cerą i naturalnym blondem. Była też wyższa od swojej starszej siostry i bardzo szczupła. Tak, była atrakcyjna, jedynym zgrzytem pozostawał wyraz twarzy, pusty, trochę jak u lalki albo maski, w oczach nie dawało się wyczytać żadnych emocji.

– No właśnie, nic wam nie mówiliśmy, ale Marysia już wysłała swoje zdjęcia do jednej agencji i dostała odpowiedź, że spełnia ich wymagania – pochwaliła się dumna ciotka. – Tylko musi jeszcze takie profesjonalne zdjęcia zrobić, więc na razie dorabia sobie jako hostessa i zbiera na to, no, portfolio – kontynuowała matka dziewczyny, dumnie wplatając obce, robiące wrażenie słowo. – W tym nowym markecie ostatnio czajnik reklamowała czy coś – dorzuciła matka.

– Toster – poprawiła ją cicho córka.

– O właśnie, przypomniało mi się, jaki numer ostatnio zrobiłem! – Wujek Staszka rozsiadł się wygodniej i widać było, że ma w zanadru wyjątkową opowieść. – Niedawno, no parę dni temu, chyba we wtorek czy coś takiego, wchodzę do tego jednego super-hiper, bo akurat miało być w nim wszystko o ileś tam procent taniej, więc biorę mleko, chleb, masło, ser, ale patrzę na ten ser i coś mi nie pasowało. Widzę, że tam dwie naklejki są, jedna na drugiej, odklejam tę jedną, a tam data inna, czyli że ser już przeterminowany! Oż się wkurzyłem, ale nic, kupuję dalej. – Rozejrzył się i upewnił, że wszyscy są odpowiednio skupieni

na jego historii. – Biorę serdelki w paczce, bo promocja była, i one, kurwa, znowu przeterminowane! Tak się wkurzyłem, że dorwałem jednego chłopaczka i mu pokazuję ten ser i serdelki, a ten jak zwykle wielkie oczy, nie że bardzo przepraszam, że tu zaraz wymienimy i takie tam sranie w banie. Tylko że takie teksty to nie do mnie, o nie! – Mężczyzna powiódł ostrym wzrokiem po słuchaczach, gdyby mieli jakiegokolwiek wątpliwości co do prawdziwości jego słów.

– Nic mi nie mówiłeś o tym, Janek. – Ciotce udało się wcisnąć w potoczysty wywód męża.

Wujek machnął tylko zniecierpliwiony ręką, zduszając w zarodku ewentualną ingerencję. To była jego historia i nie zamierzał dopuścić do niej nikogo z zewnątrz.

– I ja wtedy tego smarka wziąłem na grzeczność. – Zaśmiał się, a w jego śmiechu czaiło się coś, co niespodziewanie zmroziło atmosferę maleńkiego, dusznego pokoju. – Miło mu powiedziałem, że ja nie chcę żadnej awantury, tylko że on teraz ma mi tak przekodować taki toster właśnie, co był za kilka stów, żebym za niego zapłacił tyle, co za ten pieprzony ser przeterminowany, co był za złotówkę z czymś. Ten głupek tak się zaczął na mnie gapić, jakbym mu w kieszeń narobił. – Znow się zaśmiał brzydkim śmiechem.

Nikt z pozostałych jednak nie przyłączył się do jego wesołości. Matka Staszka co chwila spoglądała to na syna, to na brata. Ciotka siedziała z twarzą stężoną niczym maska. Zaniepokojone córki wujka

na przemian kręciły głowami i starały się skupić wzrok na swoich kolanach i stopach. Staszek, jak zwykle w chwilach napięcia, zaciskał bezwiednie zęby, wspomagając je odruchowo zaciśniętymi pięściami.

– Ten się zaczął wykręcać, że to tamto, że on nie może, że w ogóle co ja sobie myślę i takie tam trata tata. A ja twardo się na niego patrzę, nic nie mówię i czekam tylko. No i w końcu on się tak zapowietrzył, że się zamknął, i ja mu wtedy wygarnąłem, co mu zrobię, jak mi tego toster nie przekoduje. Że powiem temu ich szefowi, że widziałem go, jak znajomemu przekodował jakiś towar, i że się z tego nie wywinie, i nawet jak mu sprawy nie założą, to roboty tu u nas nie dostanie nigdzie. – Wujek zrobił przerwę na sapanie. W momentach szczególnej ekscytacji zdarzały mu się ataki podobne do astmatycznych, których pochodzenia nie odkrył żaden z badających go lekarzy. Po drugim lekko świszczącym wdechu, nie chcąc tracić czasu, kontynuował: – No i ten mały popapraniec tak się przestraszył, że mi ten toster przekodował, i jeszcze pogadał z jedną kasjerką, żebym bezpiecznie przez kasę przeszedł. A tak się na mnie gapił przez cały czas, jakbym mu no nie wiem co zrobił. A przecież wiadomo, że tam w tych marketach to wszyscy lepsze cwaniaczki, a takie szwindelki to oni na co dzień po kilka robią, nie?

W pokoju zapadła ciężka, niewygodna cisza. Każdy ze słuchaczy trawił opowiedzianą przez listonosza historię, czekając jednocześnie na niemożliwe – że mężczyzna wybuchnie swoim lekko charkoczącym



śmiechem i krzyknie: „Żartowałem!”. Zza którejś ze ścian dobiegały odgłosy codzienności, głośnej telewizyjnej paplaniny, szurania meblami, poszczekiwanie psa.

– Janek, ale nic mi o tym nie mówiłeś. Powiedziałeś tylko, że ten toster był niby porysowany i dlatego wyjątkowo tanio go kupiłeś. – Ciotka przerwała ciszę, cedząc słowa, jakby wciąż nie wierzyła w to, co przed chwilą usłyszała. – Prawda dziewczynki, że tata tak mówił? – szukała potwierdzenia u córek.

– No, coś w tym stylu – powiedziała młodsza po kolejnej chwili ciszy.

– Jezu, no przecież wiecznie marudziłaś, że chcesz mieć toster, że to taka oszczędność, bo można stary chleb odgrzać, że dziewczynki tak lubią chrupiący chlebek na śniadanie. A teraz zdziwiona! Przecież na biednego nie trafiło, nie? Nie ukradłem, tylko kupiłem, zresztą ten chiński szajs i tak nie jest wiele więcej wart. A w ogóle to te wszystkie markety ciągle nas oszukują, a to przeterminowane, a to z robalami, a to z jakąś trucizną, przecież słyszałaś, co w „Dzienniku” mówili! – Mężczyzna już dawno sam przed sobą się usprawiedliwił, teraz oczekiwał, że oszustwo daruje mu także jego najbliższa rodzina. Nie dlatego, że przejmował się ich zdaniem, chciał tylko jednoznacznego uspienia swojego sumienia.

– Ale numer tata zrobił, ja nie mogę. – Starsza córka zaśmiała się niespodziewanie.

Ojciec szybko oddał jej uśmiech, bo dokładnie takiej reakcji na swoją opowieść oczekiwał. Do jej

śmiechu przyłączyła się z ulgą ciotka, kąciuki ust zaczęły podnosić się także na twarzy matki Staszka, która, choć nie akceptowała czynu brata, to zignorowała moralne dylematy i poddała się posłuszeństwu wobec mężczyzny. Za chwilę cała rodzina miała ostatecznie rozgrzeszyć listonosza i włączyć historię tosterka do tych opowiadanych podczas imprez w najbardziej zaufanym gronie.

– Ale przecież to była zwykła kradzież – powiedział, cedząc przez zęby, Staszek, niszcząc bezpowrotnie rodzinne, bezpieczne status quo. – Jeszcze dochodzi do tego szantaż i nakłanianie do przestępstwa. No a to już jest kilka paragrafów. – Nie podnosił głosu, ale gdzieś w oddali pobrzmiwała zbliżająca się burza. – I już pomijam, że to było zwykłe świństwo i chamstwo. Takie prostackie chamstwo. – Ton głosu mu się zmienił i epitet wybrzmiał ostro i głośno.

Staszek nie mógł już dłużej zatrzymywać wewnętrznego wrzenia. Widział przecież ten grymas pogardy na twarzy swojego krewniaka, gdy opowiadał o pracowniku sklepu, widział tam samego siebie, spierającego się z takim podstarzałym cwaniaczkim, który wyczuwa jego słabość i próbuje ją przekuć na swój nieuczciwy zysk. Nie mógł przykryć tego wydarzenia rozgrzeszającym uśmiechem. Nie mógł splunąć sobie samemu w twarz.

Wstał, brutalnie, choć bezwiednie, strzepując śpiącego na stopie psa. Pochylił się nad wujkiem i celował w niego słowami wypowiedzanymi lodowatym tonem zmieszonym z drobinkami śliny.

– Czy myślisz, że jak kogoś zgnoisz, to sam się stajesz lepszy? O to ci chodziło, żebyś się dowartościował, żebyś się lepiej poczuł, żebyś się na kimś wyżył? – wbijał swoje słowa niczym ostrza w zmrożoną jego atakiem ofiarę.

Wujek szeroko otworzył oczy, usta ułożyły mu się w brzydki grymas zadziwienia i przerażenia. Wraz z narastającą furią chłopaka rosła jednak i jego własna wściekłość, jego godność ocknęła się i postanowiła ruszyć do kontrataku. Kilkudziesięciosekundową zwłokę tłumaczyć można było tylko totalnym zaskoczeniem.

– Co! Co ty mi tu gędzisz, kolego – rozpoczął obronę wujek. – Co ty sobie w ogóle myślisz, ty smarkaty, ty. Że niby kto ty jesteś, żeby mi tu tak mówić, co? Że niby przyjechałeś z wielkiego miasta i będziesz się tu na mnie wyżywał, co!

Podniósł się w tym czasie z kanapy, zacisnął pięści i przesuwał się do przodu, zmusił Staszka do cofnięcia się. Z tyłu za chłopakiem czaiła się ogromna meblościanka. Staszek, by dać sobie możliwość odwrotu, przesunął się w bok, mając po prawej stronie wąskie przejście między fotelem i ławą prowadzące do filigranowego przedpokoju.

– Dajcie spokój! Co wy wyprawiacie! – zerwała się nagle matka chłopaka, pokonując ostatecznie absolutne osłupienie. – Staszek! – zwróciła się do syna, a jej oczy, chociaż starały się być chmurne i stanowcze, odruchowo pokryły się mgiełką łagodności. – Uspokój się i przeproś szybko wujka – zażądała cienkim

i wbrew zamierzeniu niepewnym głosem. Dobrze wiedziała, że jeszcze nie zdarzyło się, by wygrała z synem wbrew jego woli, widziała na jego twarzy zacietrzewienie i przeczuwała, że nie ma on zamiaru ustąpić.

Chłopak odwrócił twarz w jej stronę i spojrzał na nią w taki sposób, że serce wykonało w jej klatce piersiowej skok do gardła i przez chwilę tam zostało, odbierając jej możliwość wypowiedzenia jakiegokolwiek słowa. Potem obrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju, w przedpokoju chwycił w jedną rękę kurtkę, w drugą buty i wyszedł z mieszkania, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Zbiegł w skarpetkach na sam dół, bojąc się, że ktoś wybiegnie za nim i będzie próbował go zatrzymać, szybko włożył buty, przysiadając na ostatnim schodku, zarzucił kurtkę i wyszedł na chłodne powietrze.

Ciemność, która o tej porze roku szybciej chowała tę część świata pod swoje skrzydła, nie przeszkadzała mu. Staszek znał idealnie topografię swojego rodzinnego osiedla, po którym mógł się poruszać nawet z zamkniętymi oczami.

„Jezu, kolejna awantura i znów uciekam. Co się ze mną dzieje?” – przemknęło mu przez głowę i jak fala wróciło do niego wspomnienie bijatyki na imprezie u Anki. Był wściekły na siebie, że dał się tak łatwo sprowokować, że jego chłodny dystans nie powstrzymał nieodwracalnego potoku słów, że nie wzruszył po prostu ramionami i nie skwitował ohydnej opowieści wujka prychnięciem, które jego ojciec chrzestny mógłby ostatecznie uznać za nieudane parsknięcie śmiechem, wpasowujące się w reakcję rodziny.

